

WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

[18]

DLA DZIECI.



DROZD ŚPIEWAK.

Już coraz silniej słońce przygrzewa, powrócili z dalekich wędrówek śpiewacy leśni, a głosy ich wesołe ożywiają wiejskie ustronia. Do najmilszych ptasząt naszych należy drozd, na rycinie przedstawiony, nie darmo śpiewakiem przezwany, gdyż celuje wśród leśnego chóru i nieraz też z tego powodu trzymany bywa w niewoli.

szy, chociaż nie tak melodyjny i przejmujący. W pokoju śpiew jego nadto jest przeraźliwy, zwykle też klatka ze śpiewakiem umieszczona bywa za oknem, na dworze lub na balkonie. Przyjemniejszy daleko jest głos drozda w lesie, gdy echo dźwięki jego roznosi daleko dokoła.

Ptaki śpiewające osobną gromadkę stanowią w skrzydlatej rzeszy, wszystkie prawie są niewielkie ale wesołe, pojętne i przemyślne. Niepospolite



Drozd śpiewak.

BZ.

Drozd słynie także jako znakomity budowniczy; gniazdko jego jest prawdziwem arcydziełem sztuki i cierpliwości, wygląda jak koszyczek misternie wpleciony z gałązek, poprządkany trawą i słomą, nareszcie oblepiony kitem, przyrządzonym z różnych materyałów i śliny ptaka. Wewnątrz gniazdko wysłane jest mięciutkim mchem.

Większy od słowika, drozd ma głos donośniej-

miejsce zajmuje pomiędzy nimi rodzina drozdów, do której należą między innymi kos, znany z dowcipu i przyjemnego głosu, i kwiczoł, który znów słynie ze smacznego mięsa. W innych częściach świata żyją gatunki drozdów daleko piękniejsze od naszych, jaśniejsze jaskrawymi barwami, zawsze jednak temi samymi przymiotami się odznaczają.

PROSTAK WIEJSKI.

Nie wiem, gdzie tam lepiej komu,
 Każdy panem własnej woli;
 Mnie najlepiej w ojców domu,
 Więc rad siedzę na swój roli.
 Nie ciekawym, co tam pada
 Zagraniczna miastom moda;
 Sieję sobie swe zagony,
 Niech Bóg będzie pochwalony!

* * *

Ktoś tam szuka obyczaju,
 Pędzi w świat... Otwarte wrota!
 Dzięki Bogu, wiem i w kraju,
 Co jest rozum, grzeczność, cnota.
 Wolę ja w staroświecczyźnie
 Własnej wiernym być ojczyźnie:
 Bom z pradziadów Polak chrzczony,
 Niech Bóg będzie pochwalony!

* * *

Ktoś przez mądre tam mozoły,
 Myśli, że świat przeinaczy;
 Toć i jam odbywał szkoły,
 Wiem, co ta ich mądrość znaczy.
 Hurt na hurt, wolę ja stare:
 Ojców serce, ojców wiarę,
 Żyć dla dzieci i dla żony,
 Niech Bóg będzie pochwalony!

* * *

Ktoś tam ludzi durzy, mami,
 I gdy jakiś zysk w tém zoczy,
 Godnościami, czułościami,
 Jako może mydli oczy.
 U mnie, znam się na oszustach,
 Prawda w sercu, prawda w ustach,
 Do prostoty wzwyczajony,
 Niech Bóg będzie pochwalony!

* * *

Niech tam sobie łakną drudzy
 Chwały, sławy i tak dalej;
 Mnie, gdy w domu lubią słudzy,
 Gdy mnie w wiosce kmieć pochwali,
 Gdy pochwalą mnie sąsiedzi,
 A zwłaszcza ksiądz u spowiedzi: -
 Tom już całkiem ucieszony,
 Niech Bóg będzie pochwalony!

Stefan Witwicki.

O MAŁYCH ŹRÓDLACH

I WIELKICH RZEKACH.

Roku 1879-go zmarła w Warszawie Izabella Piłsudzka, założycielka domu schronienia dla kalek, który przedstawia dzisiejszy nasz rysunek. Podamy tu niektóre szczegóły z życia tej zacnej niewiasty, w celu zwrócenia uwagi naszych czytelników na starą prawdę, że, jak z małych źródeł wielkie się rzeki tworzą, tak i z najmniejszych środków powstają wielkie instytucje krajowe, jeżeli tylko środkami owemi pokieruje siła żywotna dzielnego ludzkiego serca. Wiemy co dawniej uczynił ksiądz *Baudouin*, założyciel szpitala Dzieciątka Jezus, i ksiądz *Falkowski*, założyciel instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych, dowiedzmyż się, co przed kilku laty zdziałała jedna niewiasta.

Izabella Piłsudzka, bogata i bezdzietna, a w bogobojnym staroświeckim wychowana domu, zajmowała się zawsze gorliwie dobrem swoich włościan, a zwłaszcza opieką nad niemi w ich chorobach. Dla tego, w wieku i w okolicznościach, gdy jeszcze mogła zabaw i przyjemności światowych w pełni używać, ona pokryjomu gdyż nie chciała nawet nauką zwracać na siebie uwagi, zabrała się do studyowania uczonych i popularnych dzieł medycznych, założyła u siebie nie lada jaką apteczkę i wkrótce zasłynęła, jako miłosierna lekarka, nie tylko w swoich, ale i w okolicznych wioskach.

Z czasem pani Piłsudzka utraciła męża i majątek, a zamieszkawszy w Warszawie, mimo już bardzo skromnego bytu własnego, zajęła się jedynie miłosierną pracą w Towarzystwie Pań Miłosierdzia Ś-go Wincentego à Paulo. Towarzystwo to, istniejące oddawna w Warszawie, ma na celu nawiedzanie nieszczęśliwych, chorych, opatrywanie ich koniecznych potrzeb, oddawanie ich dzieci do terminu, wyszukiwanie zajęć dla dorosłych i niesienie pociechy religijnej dla wszystkich. Pracując gorliwie w tém Towarzystwie, ś. p. Piłsudzka miała nieraz sposobność uzalenia się nad chorymi nieuleczalnymi paralitykami i kalekami, których szpitale publiczne nie przyjmują, a własna uboga rodzina utrzymywać częstokroć nie jest w stanie. Los takich nieszczęśliwych chorych bez nadziei, dla których zdaje się, jakby miejsca na ziemi nie było, gdy oni przecież żyć na niej są zmuszeni, szczególnież wzruszał jęj serce i podał myśl założenia przytułku, w którymby sami właśnie tacy nieuleczalni mogli znośniejsze na ciężkie ich życie znaleźć schronienie.

Ta myśl zajmowała dniem i nocą serce miło-

sierniej pani, która na przeróżne wpadała pomysły, aby ją urzeczywistnić, ale sama z góry widziała tych pomysłów niepraktyczność, bez koniecznej do ich spełnienia podstawy -- bez pieniędzy. Jako pracująca w Towarzystwie Miłosierdzia, wiedziała ona dobrze, jak wiele rachować można na to miłosierdzie, i rachowała też na nie jedynie, tak samo, jak ksiądz Baudouin i Falkowski, ale zarazem wiedziała też, że i miłosierdzie, jak niektóre kosztowne kamienie, potrzebuje koniecznie jakiegoś choćby najmniejszego, ale już istniejącego pyłku, jakięś odrobiny, atomu, którego by się chwycić i koło niego uczepić swe kryształki mogło, aby zacząć istnieć w nowej postaci. Tego *pyłku*, któryby umożliwił zawiązek nowej instytucji, ś. p. Piłsudzka nie posiadała. Nie rozpaczała przecież, ale żyjąc ciągle pod wpływem myśli, która ją opanowała, mawiała nieraz:

— Gdybym tylko trzysta rubli gotowych miała, rozpocząłabym! a resztaby się znalazła... — Jak zwykle w podobnych razach, niektórzy uśmiechali się, słysząc te słowa, i patrząc na drobną i wątłą postać téj, która je wymawiała z myślą o wielkiem dziele.

Uśmiechali się ludzie, a jednak znalazł się między nimi ktoś, kto usłyszawszy owe słowa, rzekł:

— Co, trzysta rubli tylko pani potrzeba na zaczątek przytułku? oto są, proszę!

I ś. p. Piłsudzka natychmiast roku 1874, przy pomocy dwóch zacnych pań, które wspólnie z nią czyniły starania, ażeby doprowadzić do zamierzonego celu dzieło miłosierdzia i dotąd przewodnicząc zakładowi nieuleczalnych kalek, wynajęła na Tamce dwie izdebki, i umieściła w nich czterech paralityków, najsroźszem przyciśniętych nieszczęściem. I natychmiast też okazało się, jak dobrze założycielka znała serca ludzkie, poczciwość ludzką, a może i próżność nawet: bo wnet poczęto mówić dużo o jęj maluczkiem zakładzie i o ofercie 300 rs. owęj pierwszój, z której on powstał, i mnóstwo innych ofiar posypało się na ów zakład. Bo w takich razach zawsze są tacy, którzy dają, pociągnięci jedynie przykładem, ale są też i tacy dawcy znacznych nieraz dobroczynnych darów i zapisów, którzy właśnie sami oddawna widzieli potrzebę jakiegoś dobroczynnego zakładu, i sumę nań mieli odłożoną gotową, a nie wiedzieli komu ją powierzyć, aby umiejętnie i stosownie była użytą. Wielką więc słusność miała założycielka, gdy pragnęła przedewszystkiem dzieło swe *zacząć*, bo za ledwo mówić o jęj dziele zaczęto, gdy coraz większe poczęły sumy nań wpływać.

Wkrótce kapitał się powiększył, przeniesiono przytułek do obszerniejszego mieszkania przy ulicy Chmielnój, a następnie do własnego domu przy

ulicy Nowowiejskiej, zakupionego dla kalek przez głównego ich dobroczyńcę, pana Feliksa Sobańskiego. Roku 1878 przybudowano do tego domu nowe skrzydło z mnożących się ofiar. Dziś znajduje w niem schronienie kilkadziesiąt osób. Jest to więc już spora *rzeka*, która z bardzo *malutkiego* powstała *źródółka*.

Zakładem zarządzają zacne ochmistrynie i opiekunki, które czas swój i trudy bezinteresownie poświęcają. W sali wspólnej chore bez władzy w nogach, ale o zdrowych rękach i duszach, mają porządzane osobne niby pokoiki, a w nich stół, krzesło, kwiatki na oknie, i łóżko, w którym siedząc lub leżąc pracują, aby przy pracy lżej i prędzej przechodziło smutne życie. Widzieliśmy tam wyplatane ładne koszyczki, krawaty, kokardki, chusteczki włóczkowe, a nawet szyją się tam suknie i bielizna. Jedna z takich pracownic, siedząca w łóżku, bo do połowy bezwładna, mówiąc o swęj chorobie, rzekła:

— Ha, już też bez żadnego krzyża nie może przecież życie być — zdawała się nam mocno swoją robotą zajęta i zadowolona.

Starowina jedna, leżąca w łóżku na wspólnej sali, sparaliżowana i przytęm idyotka, widząc zdaleka inne chore zajęte robotą, pragnęła też koniecznie coś robić; dostarczono jęj więc gałganków jaskrawych maleńkich, które już się na nic lepszym robotnicom przydać nie mogły, a ona z zapalem stroiła niby lalki, za które nieraz odwiedzający płacili jęj po kilka groszy, aby jęj zrobić przyjemność. Bazar, urządzany przed Bożem Narodzeniem przez dobroczynne panie w naszém mieście, zajął bardzo wszystkie robotnice, bo niejedna z nich naprawdę dlań pracowała i śpieszyła się, i myślała, jakby robotę swą uczynić piękną?... a tak myśląc i śpiesząc się, mniej dotkliwie uczuwała bóle swe i ciężar swego istnienia... Mężczyźni w zakładzie wyrabiają szczotki rozmaitego rodzaju, zaczawszy od najprostszych.

Kto wie jednak, czy ze wszystkiego nie najbardziej zajmująca jest tutaj służba, składająca się z dziewcząt wiejskich, które *zupełnie darmo*, jedynie tylko z czystego chrześcijańskiego miłosierdzia, obsługują cały zakład, pełniąc przy ciężko chorych najprzykrzejsze obowiązki tak ochoczo, jakby tego nikt płatny nie czynił. Oczywiście, zakład żywi je i odziewa, bo inaczej żyćby nie mogły, ale więcej nic. Jeżeli zdarzy się, że jedna z nich musi dla jakichś szczególnych przyczyn zakład opuścić, natychmiast zjawia się druga na jęj miejsce. Jedna wszelako Anusia, ta, która najpierwsza jeszcze w roku 1874 na ulicy Chmielnój była przyjęta, pozostaje w zakładzie do dzisiaj i pracuje, jak pierwszego dnia. Niedawno jeszcze usługiwać mo-

gła jednemu z kilku pierwszych chorych przyjętych przez „*matkę*“ jak paralitycy ś. p. Piłsudzką nazywali. Nieprawdaż, że przed ową prostą dziewczyną Anusią warto czoła uchylić?... bardziej niż przed niejedną wielce strojną panią.

Zakład paralityków mimo swego stosunkowego rozwoju, do dzisiaj utrzymuje się z ofiar miłosiernych, do przyjmowania których choćby w najdrobniejszej kwocie i w Redakcyi *Wieczorów* widzieliśmy przygotowaną puszkę.

Joanna z Zabrzezia.

TAJEMNICA RODU.

OPOWIADANIE Z DAWNYCH CZASÓW,

(Dalszy ciąg).

— Co czynić?— spytał Jan zaniepokojony.

— Hm, cobądź, to chyba już nie burdy u panów Jarzynów— półgłosem figlarnie jakoś mruknął Marek.

— O! a waszmość zkąd już i o tém wiesz? — zacerwieniony Jan wykrzyknął. — Przez chwilę panowało milczenie, aż Marek, czując na sobie wzrok brata błagalny, rzekł łagodnie, by go przekonać, że się nie gniewa:

— Acz hufce nasze własne odrobiną są, wobec Kserksesowego wojska tamtego, przecze przyda się i to; opatruje je waszmość a ćwicz dalej; a świadomość własnej słabości niechaj ci serca nie odbiera; boć zawsze lepsza już taka świadomość, niż zarozumienie a ślepotą.

Jan pomyślał, podumał, i odrzekł:

— Panie bracie, jeżeli wy już tak myślicie, że ona burza tu na głowy nasze w rzeczy musi spaść, to czyby zaś nie zdało się pomyśleć o zaopatrzeniu doma? a nuż w oblężeniu trwać przyjdzie?...

Marek podniósł głowę z nad swych papierów i popatrzał znów na brata z tym figlarnym wyrazem, który jeszcze piękniejszymi czynił jego piękne oczy.

— Doma? — rzekł — hm, a do Oleska? do Złoczowa? toby nie zdało się co żywności a amunicyi posłać? he?

— A!.. z czem to się owe wozy ciągle po drogach przejeżdżają? — nagle zacerwieniony, znów Jan zakrzyknął.

— At, z czém? toż mogło waszmości choć do głowy przyjść do którego zajrzeć, tobyś wiedział jeśliś ciekaw — ze śmiechem rzekł Marek. — A w tém Jan gwałtownie krzyknął.

— A! dalipan to już sromota jest, żebym też ja w rzeczy niby nie syn tego domu a ziemi tój, jeno hućcami się bawił, a już o niczém więcej nie

pomyślał. — Marek spojrział na brata i widząc, że usta mu się aż trzęsą z gniewu na siebie samego, rzekł łagodnie:

— Sromota to jeszcze nie jest, jeno lekkomyślność ta waszmościna szpetna, która waszmości wplątuje w niepotrzebne kłopoty, a od rzeczy ważnych odrywa. Byłbym ja od dwóch tygodni, odkąd tu jesteśmy, pomocy waściny zażądał ku zarządzeniu się w gospodarstwie, w zamkach i miastach naszych, by jako można lud zabezpieczyć, anom sobie rzekł, że nawoływanie do obowiązku nic nie jest warte, i że czekać trzeba, abyś się waść sam w postępach swych spostrzegł; co się teraz i stało. Pomożesz mi pan brat. Te wozy, które dziś waszmość musiałeś na drodze spotkać, do Zbaraża idą, a nie pierwsza to już partya. Zaoopatruję Zbaraż, jako jeno mogę, co wlezie woń, alem niespokojny, bo najtęższe tam mury, i punkt zda mi się sposobny, to bodaj czy nie przyjdzie tam właśnie zaprzec się, niby ten konający gladiator na rzymskiej arenie, który stopą zaprze się w grunt, i walczy nieruchomo jeno siłą oporu, by nieprzyjacielowi nie dać tyłu sobie wziąć... A no na taką rzecz, to już zawsze tam żywności nie starczy, gdyby się to przeciągnąć miało, bo sił do obrony trzeba dużo, a zaś miejsca mało jest. Na krótki termin jedyna to nora do zaparcia się, a zaś na dłuższy nie liczone snadź przy stawianiu tego... a przecież, jeżeli gdzie, to tam właśnie i przeciw Kserksesowemu bym się zaparł... ha, będzie co Bóg da... Ja tam jeszcze pojadę dziś; a waszmość obejrzyj jeszcze raz Olesk i Złoczow, gdzie już był; boć więcej widzą cztery oczy niż dwa.

— O!... — rzekł Jan po chwili, wysłuchawszy tych zleceń braterskich. — Już też pani kasztelanowa ani przez pół nie ma dla mnie takiego serca, jak dla pana brata, a i inni też co bliżsi, dalipan, mnie niby niedorostka, gdy waszmości jako dojrzałego męża traktują; a no to już prawdziwie i głośno wyznać mi przychodzi, że wszyscy oni słusznie czynią, i tyła!

— A ja też powiem prawdziwie i głośno, że kto inny, mniej zacnego serca, toby o tę rzecz jeszcze zawiść ku starszemu swemu powziął i tyła! — rzekł Marek z ojcowskim uśmiechem, łagodząc rozżalenie Jana. — A to jeszcze powiem waści — dodał po chwili, — że gdybyś mnie za plecami swemi nie czuł, tobyś też inny był, a zabieglwszy, jako z czasem i będziesz.

— A zaś taki, ktoby jeszcze zawiść o tę rzecz ku starszemu swemu powziął, toby łotr był! — z impetem odkrzyknął Jan na poprzednie słowa brata, nie słuchając późniejszych w rozżaleniu swojem.

A wtém szcęk zbroi dał się słyszeć w przyle-

głęboko komnacie, drzwi roztwarto i wszedł mąż zbrojny, z podniesioną przyłbicą, mocno kurzawą podróżną przysuty, a w całej postawie tak wyrazistą dumą nacechowany, że Jan aż się cofnął zdumiony tym majestatem w oczy bijącym, aczkolwiek zwyczajny był Jan różnym pysznym majestatom takim, jak Ludwika XIV i sułtana tureckiego, w oczy spoglądać. Ale jeszcze bardziej zdziwił się Jan, ujrawszy z jaką pełną atencji skwapliwością pośpieszył Marek na przyjęcie tego rycerza, którego pojawienie się tak nagle, ciche i niezapowiedziane, miało w sobie coś dziwnie tajemniczego. Mąż to był młody jeszcze, bo pewno i czwartego nie dochodził krzyżyka, a przecież starosta krasnystawski witał go z tak głęboką, a przytém serdeczną i ostentacyjną jakoby cześcią, jak gdyby w ten sposób chciał każdemu to widzącemu powiedzieć.

— Patrzcie! a ucicie się, jako męża tego szanować należy.

— Azaliż to jaki potężny monarcha jest, panu bratu znajomy?... — pomyślał zdumiony Jan, gdy gość gestem znaczącym wskazał go właśnie staroście krasnystawskiemu, dając przez to jawnie znać, że trzecią osobę za niepotrzebną w owej chwili w komnacie, uważał.

— Ten jest starosta jaworowski Jan, brat mój rodzony, mości wojewodo ruski! — rzekł Marek; — a wojewoda ruski, Jeremi książę Wiśniowiecki, skinieniem jednem, razem powitał Jana i zezwolił na jego w komnacie obecność *); gdy on tymczasem, równie jak Marek, z mimowolną prawie a głęboką atencją powitał bohatera, którego po raz pierwszy widział, choć głośne czyny jego uwielbiał oddawna. Marek mówił znowu:

— A więc burza tatarsko-kozacka idzie już tu właśnie na głowy nasze, kiedy szczęście mam oglądać w progach moich naddziadów głównego od niej obrońcę, bez którego zalałaby ona już całą naszą ojczyznę nieszczęsną, gdyby on teź od siedmiu miesięcy, *sam jeden* z poczty własnymi na wszystkich na raz zagrożonych punktach, nie osłaniał!

— *Nec Hercules contra plures* — wstrząsając smutno głową westchnął Wiśniowiecki — ja nie podołam wystawić więcej nad dwanaście tysięcy wojownika, a hurmy tatarskiej z kozactwem trzytysięcy idzie! i odpędzajże się temu na całym tamtym obszarze z dwunastu tysiącami ludu! ot!... — mówił bez cienia przechwałki, ale z prawdziwym smutkiem Wiśniowiecki, dumny, lecz nie pyszny wcale, gdy Jan z mocnym rumieńcem na licu

weń się wpatrywał ciekawie, a Marek rzekł z uśmiechem:

— A no, przez siedm miesięcy wszelako dawał sobie radę on Herkules... acz wedle mego widzenia nie w tém główna rzecz... — ostatnie wyrazy Marek wymówił półgłosem, jakby niechcący i zamilkł nagle. Gość bystro spojrział na gospodarza:

— Jeno w czém?... krótko zapytał.

— Wtém — z mocą rzekł Marek — że wasza miłość, mości książę, tak wspaniale na ołtarzu ojczyzny składasz własne swe ciężkie i słuszne urazy; bo jakom wobec całego koła braci to mówił, tak powtarzam, że owo zawistne, przeciw powszechnemu życzeniu odmówienie wam dowództwa nad wszelkimi zebranemi przeciw Chmielnickiemu siłami, jest wszelkich obecnych nieszczęść przyczyną, a byłoby zagładą prawdziwą ojczyzny, gdyby nie ta, o której mówię, wspaniałomyślność wasza!

— A otóż ani wiedząc, że mam przyjaciela w waszmości, panie starosto, tu przecież umyślnie wprost do waszmości dążyłem — rzekł Wiśniowiecki — bo zda mi się, że oko ku poznaniu ludzi dobre mam, a wpadłeś mi w nie waszmość zaraz przy onej przed kilku tygodniami wspólnej naszej pod Zamościem sprawie. Powiedźże mi waszmość, jeśli taska, co tu podczas onych tam układów porabiasz, boć nie próżnujesz chyba?

— Hufce nasze wraz ze starostą jaworowskim sprawiam a wzmacniam — rzekł Marek — i zamki nasze nagotowywam ku możliwej w niej konieczności zamknięcia się, a no...

— A no co?... — żywo podchwycił książę Jeremi.

— A no najspodobniejszym ku temu zda mi się... Zbaraż...

— Zbaraż! — wykrzyknął książę, jakby tego właśnie wyrazu czekał z ust Marka. — Ot i nie omyliło się oko moje na waszmości: dla Zbaraża tu przybywam a pewnym, żeś go już waszmość sam ocenił i opatrzył.

— Ale tam miejsca na żywność mało! ani tam wołów spędzić da się dość! — z desperacją Marek zawołał.

— Prawda! to bieda — żwawo Wiśniowiecki przyznał — no jak będzie tak będzie! naładować żywności co się da, a już tam zaprzec się przyjdzie, bo tam jedna znamienita jest rzecz, a to ta, że z onej nory z dobrze rozpołożonych furt tamecznych pyszne wycieczki na nieprzyjaciela czynić można! a to nam grunt! Bo nie dośchy nam zaprzec się i trwać, a w ostatecznym głodzie prochami się wysadzić; nie w tém rzecz, bo toby jeno próżność była, a krajuby nie ratowała, bo one chmary tatarsko-kozackie minęłyby nas, a na kraj

*) Zajmująca jest okoliczność, że to najpotężniejszy z ówczesnych panów, ojciec (w przyszłości) *najuboższego* z królów polskich, witał w ten sposób *przyszłego* króla polskiego.

w głąb poszły, nas jeno dobrze w oblężeniu jedną częścią swoją trzymając; nasza rzecz będzie właśnie wycieczki czynić, a niemi wroga zabawiać co największą moc, żeby go jak najmniej od nas mogło w głąb kraju odejść; w tém nasza rzecz! A do tego Zbaraż jedyny! Jedźmy doń!

— Jedźmy! — Marek powtórzył; i pojechali dwaj panowie do Zbaraża oglądać go jeszcze. Potém przygotowywano się dalej na wszystkie strony, i hufce wciąż opatrywano, aż w chwili zerwania kilkumiesięcznych bezskutecznych z Chmielnickim i Chanem Islam-Girejem układów, młodzi wodzowie odrazu znaleźli się na najbardziej zagrożonych punktach granicy, każdy na czele własnych swych pocztów. Z ludu, kto mógł, skrył się już w głąb kraju.

Wkrótce też, jak to światli wodzowie z góry przewidywali, przyszło im, zamknąwszy się w warunkach, opierać tym ostatecznym środkiem zalewającej kraj tatarsko-kozackiej powodzi. Wiśniowiecki Jeremi i obaj Sobiescy, zaledwie wszedłszy z pocztami swemi do Zbaraża, opasani zostali nieprzeliczonym tłumem nieprzyjaciela, którego mimo to starczyło, aby tak samo jeszcze okrążyć nieliczną, ośmnastotysięczną armią Jana Kazimierza króla, śpieszącego na ratunek kraju, pod Zborowem miastem własnym Sobieskich.

Tak rozpoczęło się sławne owo w dziejach, a przecież *za mało* w nich sławne oblężenie Zbarażkie, które samo dałoby obfitą treść do tomowej powieści. *Siedmdziesiąt pięć* dzielnych wycieczek ze Zbaraża, i *dwadzieścia* szturmów gwałtownych, odeń odpartych, *zabawiało* większą część nieprzyjacielskich tłumów u jego murów przez *dwa miesiące*. Wprawdzie starczyło Chmielnickiemu ludu na opasanie, prócz Zbaraża, jeszcze i całej owocniejszej królewskiej wojennej potęgi, z jaką król na odsiecz Zbarażowi oblężonemu idąc, sam pod Zborowem, miastem Sobieskich, oblężonym został. Ale zawziął się i zaciekł Chmielnicki na Zbaraż okrutnie, i zaparł przed nim tak właśnie, jak oblężeni zaparli się w nim, a to dla tego, że zaparli się tam właśnie ci panowie polscy, którzy dotąd najdzielniej wojowali z Chmielnickim, gwałtem więc chciało mu się dostać ich w ręce. Z początku zdawało mu się, że idąc tak straszną chmarą, jaką wraz z chanem prowadził, zdepcie poprostu Zbaraż wraz z jego obrońcami, jak to mu się już nieraz w tej wojnie udało, gdy zdradą nachodził ze swym tłumem na małe garsteczki rycerstwa, i gniótł je.

Potém sądził, że przy pierwszym szturmie wojownicy jego nieledwie czapkami swemi Zbaraż ów zarzuca. Dopiero po kilkunastu szturmach daremnych do Zbaraża, i kilkudziesięciu wcale nie

daremnych wycieczkach ze Zbaraża, zaczął szaleć ze złości: wiedział, bo znał się na rzeczy, że u oblężonych musi dawno braknąć żywności, a mimo to koniecznie tém gwałtowniejsze szturmy przypuszczał. Bał się podobno, aby rycerstwo w ostateczności nie wysadziło się w powietrze prochami i tak jego rąk nie uszło. Trzymał on Zbaraż w oblężeniu tak ściśłem, iż pewny był, jako oblężeni nie mogą wiedzieć o pokwapieniu się króla Jana Kazimierza na ich obronę; rachował Chmielnicki, że głucha taka nieświadomość o swoich, równie jak głód i trudy, zgnębi ducha oblężonych, a może i słabą naturę ludzką doprowadzi do zbrodniczego zepsucia. Z tego więc ostatecznego względu nakazał on swojemu ludowi ciągle tajemne stosunki z podrzędniejszymi obrońcami murów Zbaraża, i wmawianie im, że cierpią napróżno, a raczej dla dumy jedynie zamkniętych z nimi panów, że sprawa polska i sama Polska już przepadła, i że pozostaje im tylko zdać się na łaskę Chmielnickiego, który przyjmie ich, jakby najukochańsze swe dziatki, byle wydali mu w ręce ruskich panów z nimi zamkniętych, że takie przyjacielskie niby rady kozaków, z których niejeden miał nawet krewnych i znajomych w Zbarażu, mogły zachwiać przekonaniem niejednego z dzielnych, ale mniej oświeconych jego obrońców, to było oczywiście, wzięwszy zwłaszcza na uwagę głód, zepsucie wody, zgnękanie i brak wszelkich wiadomości z zewnątrz. To też wiedząc o tém doskonale, wodzowie i znakomitsi rycerze w Zbarażu tém goręcej pracowali nad utrzymaniem i ożywieniem ducha w swój gromadce rycerskiej, im chytrzej, gorliwiej i podstępniej pracował Chmielnicki nad tegoż ducha zgnębieniem.

Już zaraz od chwili zamknięcia się w Zbarażu, Marek Sobieski na najpierwszej wodzów naradzie zapytał, czyby posilanie się codzienne obrońców Zbaraża nie mogło odbywać się wspólnie, dla wszystkich? Panowie pomysleli, a Wiśniowiecki Jeremi, kręcąc węsą, rzekł:

— Ej, mości starosto, polityk z waszmości, masz słuszność.

Ale w półtora miesiąca później okazała się dopiero cała ta słuszność. Chmurne to było popołudnie, jakby słońce patrzeć nie chciało na nie-szczęścia ludzkie, przez samychże ludzi wywołane. gdy jespan Ordega, przystąpiwszy do nagotowanego wspólnego posiłku, rzekł donośnie, ponure nań rzuciwszy spojrzenie:

— Tfy! — i splunął hałaśliwie — konina, koty, szczury i śmierdząca woda, ot tobie szlachcicu za braterstwo z panami! A tam w kozackim obozie całe woły, nasze woły się pieką, aż z wiatkiem zapaszek dolata na mury. I na co to my cierpimy!

za co to? co z tego będzie? pytam! — i tak pytając, obracał się jespán Ordęga na wszystkie strony do zgromadzonej na posiłek braci. Niejeden tam wygłodniały chciwie już sięgał po wydzielane mu jadlo, ale myśląc, co położy na zębie, byle tylko jaknajprędzej posiliwszy się, biedz na mury, z których przybieżał właśnie; ale na owo energiczne pana Ordęgi splunięcie, odpadła i głodnemu chęć do jedzenia; niejedna ręka cofnęła się od misy, wstręt wybiegł na twarze, mruknięcie podobne do westchnienia ozwało się tu i owdzie w tłumie. Niejedno też chmurne spojrzenie pogoniło za przechodzącym szybko w oddali panem Koniecpolskim Aleksandrem, a potem zwróciło się ku murom, jakby wybiedz za nie miało ochotę.

— Ej ba, nie gadałbyś waszmość w ten sens, gdybyś dopiero co z murów gawędki z kozaczeńkiem jakimś nie uciął, choć to wzbroniono—ozwał się młody jakiś głos z tłumu, w odpowiedzi na słowa pana Ordęgi. Pan Ordęga, dzielny nad dzielnymi, ale gorączka i niezbyt głębokiego rozumu, zaczerwienił się po same uszy, bo nie sądził, aby gawędkę jego w zaułku murów prowadzoną dostrzeżono; nadrabiając tedy zuchwalstwem, jak to z winnymi bywa, krzyknął gwałtownie:

— A toż co? któż to tam chce, bym mu rzekł w tej rzeczy *verbum veritatis*? Aż to najemnik jestem? nie szlachcic z czystej miłości a dobrej woli ojczyźnie służący, i zdechliną a paskudztwem żywiony z tej racyi, że pysze wielkopańskiej ułdźić, a zamknąć się w tym samotrzasku dałem? Toż mi jeszcze ma być wzbroniona konwersacya z miłym krewniakiem, który więcej odemnie ma rozumu, gdy układnością ocali chudobę własną a dziatczek swych, co też jest Rzeczypospolitej częścią, miast marnie zdychać dla pańskiej pychy, i miłą ojczyznę témbardziej zaprzepaszcząć, zawziętością na zawziętość ją wydając? Ej, bracia! nie zgrozaż to?... nie lepiejże nam.. — w tém miejscu wykrzykniki pana Ordęgi, coraz liczniejszemi otoczonego słuchaczami, nagle przerwane zostały ochoczym śmiechem wybuchem, i kilku panów wpadło w zbitą malkontentów gromadę, łapczywie chwytając a pochłaniając podawane im porcy obrzydliwego jadła i krzycząc:

— Hej, panowie bracia! na ochotnika! kto mi przyjaciel! kto ze mną! pięćdziesiąt wołów dziś o północy Chmielnickiemu idzie, ja w tém, że do nas zabłądzą; kto ze mną? — wołał Jeremi Wiśniowiecki.

— My dla dywersyi wypadniemy z przeciwnej strony! kto mię kocha, kto ze mną? — krzyczał Marek Sobieski.

— Ja — ja — ja! — zakrzyknięto gęsto w szlacheckiej gromadzie i ochotnicy żwawo obskoczyli

dwóch wodzów, dzieląc się na dwa oddziały, wedle szczególniejszych dla tych wodzów sympaty, gdy tymczasem równocześnie z ową podwójną wodzów odezwą dało się słyszeć tuż po za nimi ciche, ale dobitne syknięcie:

— Cyt! ciszej!.. — Ale jeszcze nikt nie zdążył oczyma rzucić ku owemu tajemniczemu ostrzegającemu, kiedy już niewiedzieli dla czego rzucił się, podrywając w miejscu, pan Ordęga, siny, jakby weń piorun trzasł, wrzeszcząc:

— Co „ciszej”. Czemu „ciszej”?! kto to rzekł?! kto ostrzega? Azaliż nie wszyscy my swoi tu? azali kto tu zdrajcą ma być?!

Na wyrazie „zdrajca“ zajęło coś w piersi pana Ordęgi, chciał on rzucić się z dobytą szablą w głąb szlacheckiej cizby, zkąd owo syknięcie przyszło, ale niespodzianie wpadł w roztwarte ramiona Marka Sobieskiego, krzyczącego:

— A wy z kim, bracie Ordęgo? — i poczuwszy na obu policzkach dwa zamaszyste całusy, ni z tego ni z owego ryknął ogromnym płaczem pan Ordęga, jakby trąba archanielska jęknęła, i wzajem ściskając Marka w niedźwiedziem objęciu, wołał:

— Z wami, bracie Sobieski, z wami na śmierć i życie, póki trupem u waszych nóg nie ostane, ino na miłosierdzie Boskie, gdzie najbliżej w oczy śmierci zajrzę przyjdzie, tam mię stawiajcie!..

— To posilajmyż się żywo, a chodź waszmość ze mną, boć starszys a doświadczeńszy, to przyda mi się rada waszmości, przy pewnej w tej imprezie rzeczy misterniej... — mówił Marek, i rozśmiał się ku Wiśniowieckiemu i bratu swemu zerknąwszy i odbiegł do przygotowań ku wycieczce, pociągając za sobą pana Ordęgę, pakującego śpiesznie w usta coś, co było wielce do kociego uda podobne. Inni, do téjże wycieczki należący, pobiegli za nimi; towarzysze Wiśniowieckiego pobiegli znów za nim w drugą stronę, do zbrojowni, czy kędyś, zmiótszy wzgardzony przed chwilą posiłek z takim pośpiechem, że nie mieli czasu pomyśleć nawet, co jedli.

W kilka minut śladu nie zostało z niebezpiecznego zniechęcenia, które przed chwilą nie żartem już ogarniać zaczynało część obrońców Zbaraża, pod demoralizującym wpływem nieopatrznych słów pana Ordęgi, serdecznego, a krótkowidzącego, któremu ani przez myśl nie przeszło, iż mówił przez niego ów krewniak daleki, kozaczeńko, od Chmielnickiego wraz z innymi pod Zbaraż wysłany, w celu takiego właśnie osłabiania ducha jego obrońców. W znoszeniu się takiem owych walczących ze sobą nie było nic dziwnego, bo kozacy i Polacy w owych stronach nieraz rzeczywiście spokrewnieni i najserdeczniej do Rzeczypospolitej przywiązani, a tylko przez Chmielnickiego otuma-

nieni, częstokroć ani wiedzieli sami co czynili; czasem zaś poprostu zmuszeni byli jego stronę trzymać.

Ale myliłby się bardzo, ktoby sądził, że owego wspomnionego popołudnia wesoła interwencya panów przypadkowo tylko stłumiła wpływ nieopatrznych słów pana Ordęgi. Panowie czuwali dniem i nocą nad takimi właśnie gawędami krótkowidzącej braci szlachty, tak samo bacznie, jak nad murami Zbaraża. Swoją drogą, pięćdziesiąt wołów, które istotnie pochwycono wówczas o północy, przydały się bardzo. Nie można jednak powiedzieć, aby maleńka niby krotochwila, jaką się w tym celu posłużono, przebierając się za Tatarów, a z której misterności właśnie się śmieli panowie, miała pozostać bez wpływu na szlacheckie humory. Owszem, takie krotochwile podobają się zawsze szlachcie, a panowie, wiedząc o tém, ochoczo też wysilali na nie dowcipy, ku utrzymaniu dobrego humoru braci szlachty, choć sami pomiędzy sobą wcale się nie mieli czego weselić... i z każdym dniem bardziej nie do śmiechu im było. Przeciągano opór z dnia na dzień, rozpaczliwie, co chwila spodziewając się odsieczy, ale nie wiedząc nic na pewno. Gęste wycieczki, jak owa po woły, służyły nie mniej do „rwania“ ile się dało nieprzyjaciela, jak i do dodawania ducha swoim.

W imprezach takowych, do których dużą potrzebą było dowcipu wodzowi, aby się niby mucha z garstką swą wśród olbrzymiej niby pajęczej nieprzyjacielskiej matni wywijać, odznaczyli się szczególniej obaj Sobiescy, a nawet młodszy Jan w tych właśnie okolicznościach po raz pierwszy oko ludzkie na siebie odwagą i dowcipem zwrócił. Pomagało im zaś w tem nieskończenie doskonale wychowanie, które i w języku tatarskim i w obyczajach tatarskich wyćwiczyło ich gruntownie. Ale przy tych wszystkich sztukach waleczności i rozumu czas biegł, i położenie pogorszało się z każdą chwilą. To też nie darmo sam pan Koniecpolski Aleksander drgnął i za szablę chwycił, gdy raz po północy, w półciemnej, sklepionej, tajemnej komnacie, gdzie się wodzowie na radę zebraли, nagle a cicho po za ich plecami poruszyła się ściana z głązów i z głębi rozwierającego się skrytego przejścia wyskoczył... Tatar!..

— To pan starosta krasnystawski! — zaledwie zdążył wykrzyknąć pan Wiśniowiecki do wodzów, którzy już sądzili, że nieprzyjaciel podolał narzeczcie wedrzeć się skrytém przejściem do warowni.

— Co się stało? Co znaczy to przebranie? Dla czego, mości starosto, tak długo czekać na siebie dajesz i w tak niezwykły sposób na radę przybywasz?

Takimi pytaniami obrzucili panowie ruscy Marka Sobieskiego.

— Darujcie panowie — rzekł Marek — dzwaczność mego przybycia na radę, a także i dzwaczność pomysłu, z jakim do was przybywam; ku wytłómaczeniu się z tego wszystkiego w imię sprawy ojczystej proszę o głos!

— Masz go waszmość, mów! młodyś jest, a no wiesz co czynisz — odpowiedzieli panowie, a Marek rzekł znowu:

— Przychodzę skrycie, mości panowie, dla ułdzenia brata mego starosty jaworowskiego, który wedle prośby mojej do waszmościów zaniesionej, nie wie o dzisiejszej naradzie i sądzi, że ja po wczorajszej ranie wypoczywam, a sam w obecnej chwili na murach stoi. Motywem zaś skrytości tej mojej względem starosty jaworowskiego jest ta okoliczność, że chcę ja prosić waszmościów o powierzenie mi niebezpiecznej trochę imprezy, w której starosta jaworowski, gdyby z wiedzą jego była, chciałby koniecznie u boku mego stanąć, jak to czynić w każdym złym razie pani kasztelanowej matce naszej przyrzekł. *Ergo*, inne jest zdanie osobiste moje, ze względu, iż właściwiej będzie, aby tak pani kasztelanowa, jak druga nasza matka ojczyzna, w złym razie, jednego na raz syna traciły, niż obu. A oto zamysł mój, który rozwadze waszmościów poddaję: przebrany jako mię waszmość panowie widzicie, chcę ja przejść oboz kozacko-tatarski, i dotarłszy sam do króla i panów braci naszych, tam na świecie po za tym obozem istniejących, uczynić *co można*, a dać waszmościom znać, *co jest*.

— Zamysł rozpaczliwie dzielny a trudny — rzekł pan Jeremi Wiśniowiecki.

— Dzielny i skuteczny, bo odrazu przecinający węzeł naszej sprawy, a no niebezpieczny dla niejże samój okrutnie, bo w razie ujęcia i poznania pana starosty krasnystawskiego, wykazujący całą rozpaczliwość naszego położenia, już przez to samo, że tak ważna głowa na imprezę tyle awanturniczą się naraża. — Tak mówił pan Koniecpolski.

— Prawda jest, *dixi*! A no co czynić lepszego? — rzucił pytanie inny z panów — i szczerów wkrótce zabraknie, a z wodą co dnia gorzej. Lecz przejść obóz uważam prawie za niepodobieństwo.

Panowie spojrzeli jeden na drugiego, potem na Marka, i porozumiawszy się tak spojrzeniem, w wymowném milczeniu, skłonili tylko głowy, na znak przyjęcia jego rycerskiej ofiary. Marek wstał.

— A toż co? — spytano.

(D. c. n.).

LISTY Z WARSZAWY.

Uroczystość imienin Bohdana Zaleskiego. — Przedstawienia sceniczne w domowym kółku. — Wyborny sposób urządzania strojów.

Zdziwisz się może, siostrzyczko kochana, że w liście, pisanym z Warszawy, na samym wstępie mówić będę o takich rzeczach, które się działy bardzo daleko, aż koło Paryża. Już widzę, jak się uśmiechasz złośliwie, i kręcisz główką, mówiąc:

I co ten Kazio sobie myśli? miał nam przecież donosić różne ciekawe wiadomości z Warszawy, żebyśmy wiedziały, co się tam dzieje, a tu nagle aż do Paryża zajechał!

Ale poczekaj, siostrzyczko, zaraz to zrozumiesz; ja przecież nie myślę ci opisywać francuzkiej stolicy ani jej okolic, a to, o czém opowiadać będę, nie pochodzi wcale z dzienników paryzkich, ale w naszych polskich szeroko było opisane i wstyd byłoby, ażebyście i wy nie dowiedziały się o tém, co wszystkich ludzi oświeconych gorąco zajmuje.

Już też nie zapytam nawet, czy znacie poezye



Zakład nieuleczalnych kalek (str. 274).

Józefa Bohdana Zaleskiego, bo o tém wątpić nie można. Wszakże i w naszych Wieczorach niektóre z nich były drukowane. Ale może o tém nie wiecie, że znakomity poeta mieszka obecnie we Francji, w wiosce Villepreux pod Paryżem. Otóż 19 Marca, w dzień Ś-go Józefa, r. b. były jego imieniny, a na parę tygodni przedtém przypadała osmdziesiąta rocznica urodzin. Pamiątkę tę uczcili, nietylko bliżsi, którzy mogli osobiście hołd swój złożyć sędziwemu wieszczowi, ale i wszyscy wielbiciele jego w różnych częściach kraju zamie-

szkali. Zewsząd nadeszły powinszowania i niezliczone podpisy osób, które chciały dać dowód uznania i czci solenizantowi.

Wszak przypominasz sobie, siostrzyczko, jak w roku zeszłym opowiadałem ci o podobnej uroczystości, urządzonej tu w Warszawie na cześć innego sędziwego poety, A. E. Odyńca, którego także dobrze znacie, bo on jest taki dobry, że czasem nawet umyślnie dla *Wieczorów Rodzinnych* śliczne wierszyki pisuje. Teraz z kolei muszę wam opowiedzieć o obchodzie imienin Bohdana Zale-

skiego i dla tego to musiałem się przenieść tak daleko, aż na wybrzeże Sekwany.

W Niedzielę, w dzień uroczystości, pani Seweryna Duchńska, też sama autorka, która także czasem obdarza *Wieczory Rodzinne* pięknymi swemi utworami, przybyła z Paryża do Villepreux, wioząc z sobą gromadkęariaty i młodzieży, ażeby i młodsze pokolenie mogło hołd złożyć sędziwemu jubilatowi, dając mu poznać, że pamięć jego przejdzie do potomności. Rodacy nadesłali ogromne album, napełnione fotografiami i podpisami; na pierwszej kartce utalentowana artystka, panna Rakowska, wykonała akwarellą piękny wieniec upleciony z kłosów, paproci, macierzanek, bławatków i stepowych ziół, aby przypomnieć poecie rodzinną jego Ukrainę.

Album to wręczył jubilatowi młody Ludwik Gorecki, wnuk Adama Mickiewicza. — Niechaj wnuk Mickiewicza — rzekła pani Duchńska — złoży u stóp Bohdana hołdy ze wszystkich części kraju. — Wypowiedziano przytém *Pieśń dożynkową*, ułożoną przez panią Duchńską, ze zwrotką, powtarzającą się za każdą strofą:

Plon niesiemy plon,
Z wszystkich Polski stron.

A. E. Odyńc, przyjaciel i towarzysz lat młodych Bohdana Zaleskiego, przesłał mu wiersz prześliczny, który do łez rozrzewnił sędziwego solenizanta. Chociaż cierpiący jest na oczy i nie wolno mu nużyć się czytaniem, chciał koniecznie zobaczyć pismo przyjaciela, a nie mogąc sam odpisać, prosił, aby w imieniu jego podziękowano tym wszystkim, którzy go tak serdecznie uczcili.

Czy wiesz, co mi w tej chwili przyszło do głowy? Sędziwy wieszcz jest także dziaduniem, i jeżeli jego wnuczka czytają *Wieczory Rodzinne*, to im pewnie mój list taką sprawi przyjemność, jak niegdyś wnuczkom pana Odyńca opis uroczystości ich kochanego dziadzi. Toż pamiętasz zapewne, jaki miły liścik odebrałem wówczas od jednej z tych panienek.

Odtąd poznałem się z niemi bliżej i niejedną przyjemność miałem w ich towarzystwie. Niedawno naprzykład, w czasie Świąt Wielkanocnych, panienki te urządziły u siebie żywe obrazy z deklamacją i mnie na to przedstawienie zaprosiły. Szczególnie mi się podobała scena z Felicjty. Wiesz zapewne, siostrzyczko, że to jest dramat wierszem A. E. Odyńca, z dziejów prawdziwych męczeństwa Ś-tjej Felicjty. Scena wybrana do obrazu przedstawiała Felicjtę w więzieniu, klęczącą i odmawiającą modlitwę tak piękną, że wyuczyłem ję się na pamięć i muszę ci ją tu wypisać, ażebyś miała dokładne wyobrażenie o widowisku, które mię tak zachwyciło.

FELICYTA.

O! Jezu mój! o! Bożemój!

O! Zbawicielu! o! Panie!

Tyżes to ze mną? Duchże to Twój.

Tę niewymownęj pociechy zdrój

Tchnie w serce moje? Twęże to Łaski

Cudowne blaski,

Jakby już Nieba świtanie,

Wschodzą w mój duszy? — Boże mój, Boże!

Dusza ich moja objąć nie może.

Dusza się moja chyli przed Tobą,

Jak kwiat przed słońcem. — W sobie, nad sobą,

Około siebie — wszędzie, ach! wszędzie

Czuję Cię, Panie! nie jako sędzię,

Ach! nie! — jak ojca, jak przewodnika,

Co błogosławi mnie, i odmyka

Niebo, i woła na mnie — O! Panie!

Czyż mi dość serca, dość siły stanie,

Ukochać Ciebie, uwielbić Ciebie,

Jakbym tu chciała: jak chyba w Niebie

Szczęśliwe duchy i chcą, i mogą?

Za cóż mi, Panie, płacisz tak drogo?

Cóżem Ci dała, com poświęciła?

Grzechy i boleść, co mię tłoczyła.

A Ty mi, Panie! łaską za grzechy,

Za boleść płacisz morzem pociechy;

Za łzy rozpaczy w chrzestnym Twym zdroju

Włałeś w mą duszę źródło pokoju;

I za śmierć, której pragnę dla Ciebie,

Życie mi wieczne gotujesz w Niebie!

* * *

Gdzież jest ta trwoga mąk i katuszy?

Zkąd ta nie moja śmiałość w mój duszy?

Z czegoż Ci, Panie, złożę ofiarę,

Z czego zasługę? — gdy nie przez wiarę,

Nie przez ufanie, lecz wszystko prawie

Czuję, pojmuję, widzę na jawie:

I marność ziemi, i lichosć moję,

I wielkość Twoję, i chwałę Twoję.

Gdzież jest? — gdzie może być w tej zamianie

Zasługa moja: Gdy Ci nic, Panie,

Dać z siebie nie mam, a wszystko biorę?

* * *

Przyjmże przynajmniej cześć i pokorę.

Umrzec za Ciebie daj mi przynamnie.

Jakoś ty cierpiał i umarł za mnie.

.....

W dramacie w tém miejscu wchodzi ojciec Felicjty, ale w obrazie wprowadzono natomiast aniołka, przybranego w skrzydełka, który męczennicy przynosi pociechę Niebios. Możesz sobie wyobrazić, jak to prześlicznie wyglądało. Co do

urządzenia ubiorów, wyborny pomysł tych panienek zasługuje na wzmiankę, bo możecie i wy z nich brać przykład, jeśli zechcecie podobne widowiska urządzać. Oto przygotowały sobie zapas bibułki różnokolorowej, która służy do wycinania form i porobiły z tego przepyszne stroje, klejąc bibułkę gumą. Można tym sposobem bardzo tanim kosztem i bez wielkiego zachodu sporządzić najwspanialsze szaty.

Teraz proszony jestem znouu na przedstawienie *Ondyny*, przysłowia dramatycznego z ostatniego N-ru *Wieczorów Rodziny*. Byłem już nawet na próbie; cały strój *Ondyny*, z bibułki zrobiony, wspaniale wygląda. Wiem, że nasze Pisemko ma podawać cały szereg podobnych scenicznych obrazków, historycznych i fantastycznych. Wielka to będzie wygoda dla młodych czytelników, lubiących sceniczne przedstawienia. Już ja koniecznie pomyszę, aby i u nas coś podobnego urządzić, jak przyjadę na wakacje do domu.

Tak się rozpisałem o tej przyjemnej zabawie, czego mi zapewne za złe nie weźmiesz, siostruniu kochana, że nie mam już miejsca na inne wiadomości z Warszawy, które do następnego listu zostawić muszę; tymczasem żegnaj cię i ściskam najczuliej.

Twój przywiązany brat

Kazio.

Przygody Myśliwskie młodych osadników

W AFRYCE POŁUDNIOWEJ.

(Dalszy ciąg).

— Jeżeli jednorozec egipski ma przedstawiać zwierzę prawdziwe, żyjące obecnie, to nie co innego, tylko antylopę krowią, przezwaną *gnu*, i to nie prądkowaną, lecz pospolitą. Dziwi mię to, że przyrodnicy nigdy nie zwrócili uwagi na uderzające podobieństwo tej antylopy do egipskiego jednorozca. W rzeźbach tych widzimy wyraźnie ten sam kształt głowy i reszty ciała, toż samo zgrabne zaokrąglenie członków, piękne wygięcie karku, ozdobną spadającą grzywę, a nawet i ogon zakończony puszystą kitką. Rogi antylopy krowiej, widziane z boku, wyglądają także jakby jeden róg, a można toż samo powiedzieć o wszystkich gatunkach antylop. To pewna, że często bardzo, gdy zwierzę wykręci głowę w bok, widać tylko jeden róg, drugi chowa się zupełnie, gdyż rogi te osadzone są nisko, i końce nie sięgają wierzchołka czaszki. W takim położeniu róg widzialny ma zupełnie kształt taki, jak u egipskiego jednorozca.

Wprawdzie na niektórych rzeźbach bajeczne to zwierzę ma róg prawie zupełnie prosty i w górę wzniesiony; ale i to daje się łatwo wytłómaczyć, gdyż antylopy krowie mają w młodości rogi proste, które później dopiero wyginają się wyraźniej.

Nie ulega wątpliwości, że Egipcyanie do rzeźb swoich brali wzory z natury i dokładnie je naśladowali. Odrębna postać antylopy gnu, szczególne jej obyczaje, musiały od najdawniejszych czasów ściągnąć na siebie uwagę ludzką, niedziw więc, że i Egipcyanie osobliwsze to zwierzę przedstawiali w rzeźbie. Nie trzeba też sobie wyobrażać, że mieli w tym jakiś szczególny powód, aby ją przedstawiać z jednym rogiem; czynili to zapewne dla ułatwienia sobie roboty, gdyż kształt rogów tej antylopy jest dosyć trudny do naśladowania. Jednym słowem, przekonany jestem, że tajemnicze to zwierzę, o którym tyle się narozprawiali uczeni, nie jest żadną bajeczną istotą, tylko wizerunkiem antylopy krowiej.

— A jednorozec wspomniany w Biblii, czy także zdaniem twojem jest tą samą antylopą? — zapytał któryś z młodszych.

— Wcale nie — odparł Hans — jednorozec biblijny nie ma najmniejszego stosunku z egipskim. Gdy Job woła: „Czy możesz nałożyć jarzmo na jednorozca? Czy on potrafi ziemię orać na rozkaz twój? Czy będziesz się spuszczał na wielką jego siłę? Czy użyjesz go do uprawy roli?“ Nie ulega wątpliwości, że miał na myśli nosorożca.

Powracając do antylopy kantarowanej, młody nasz uczonek opowiedział jeszcze towarzyszom, że w klasyfikacji naukowej trzy inne gatunki antylop zaliczane są do tegoż samego rodzaju *oryx*. Jedna, przezwana *addas* przez krajowców, przebywa w Afryce środkowej. Wzrost ma takiż sam, jak pazan, ale rogi jej nie są prosto, tylko śrubowato zakręcone i krótsze u samicy, niż u samca. Trzeba też dodać, że tak bywa zwykle u wszystkich prawie gatunków antylop, u pazanów zaś wyjątkowo, jak widzieliśmy, samica ma rogi dłuższe. *Addas* ma sierść jasno-szarą, rudawą na szyi i głowie, oznaczony jest białą pręgą poprzeczną po nad pyskiem. Nigdy nie zbiera się w stada, pojedynczo lub parami przebiega rozległe pustynie, rozsypując grzązki piasek szerokimi kopytami. Ta antylopa znana była starożytnym, Pliniusz nazywa ją *Strepsiceros*.

Drugi gatunek, zwany *abu-harb*, żyje na równinach południowej Nubii, na puszczy Sennaar; wzrost ma także dość okazały, rogi długie, zastrzone, lekko w tył wygięte, sierść białawą, rudą na szyi, brunatne plamy na przodzie głowy. Grecy i Rzymianie dawali tej antylopie nazwę *oryx*, która dziś przyjęta jest dla wszystkich tych po-

krewnych gatunków. Antylopa *abu-harb* gromadzi się w liczne stada. Wizerunek jęj spotyka się często na rzeźbach egipskich.

Mniej znany jest trzeci gatunek, który się trzyma środkowej Afryki, i nosi nazwę *algazel*. Niektórzy przyrodnicy uważają tę antylopę za odmianę poprzedniej.

Gdy Hans zakończył to zajmujące opowiadanie, noc już była zapadła zupełnie i młodzi podróżnicy, ułożywszy się wygodnie w głębi swoich wozów, usnęli wkrótce snem głębokim.

X.

Ptak wielbłąd.

Po przebyciu rzeki Pomarańczowej, myśliwi nasi skierowali się na północno-wschód; gdyby byli się zwrócili wprost na północ, napotkaliby wkrótce przed sobą pustynią Kalahari, która jest Saharą Afryki południowej i musieliby skrócić na wschód lub na zachód. Ale oni oddawna wytknęli już sobie plan podróży i postanowili udać się na wschód, gdyż okolica ta obfituje w zwierzyne wszelkiego rodzaju; bawoły, słonie, girafy, przebiegają równiny, a w rzekach pełno hipopotamów i olbrzymich krokodyli.

Młodzieńcy nie spuszczali się na los szczęścia, Kongo był ich przewodnikiem, on to ich przyrzekł doprowadzić do miejsca, gdzie nigdy nie braknie grubego zwierza, a śmiało spuścić się było można pod tym względem na doświadczonego Zulusa. Nazajutrz po owym dniu pamiętnym, w którym padła para lwów i para antylop, gromadka podróżnych o świcie wyruszyła w drogę. Po całodziennym pochodzie zatrzymano się w małym gaiku, poza którym, jak okiem zajrzeć, ciągnęła się rozległa, piaszczysta równina. Na tej ziemi, wysuszonej palącymi promieniami słońca, niewiele roślo roślin, widać tam było tylko drzewiaste aloesy, zdołne w piękne, czerwone kłosa kwiatowe, sagowce, *cycas*, podobne zdaleka do palm, wilczomleczce, *euphorbia*, o liściach mięsistych, jak u kaktusów i zarośla ciemnych akacji, *acacia horrida*, którym krajowcy nadali charakterystyczną nazwę: *poczekaj troche*, z powodu haczykowatych kolców, które przechodnia chwytają za suknię i zatrzymują.

Wszystkie te rośliny rozsypane były zrzadka na równinie, w wielu miejscach widniały duże płyty żeszlęgo gruntu, smętnej, brunatnej barwy. Ten szmat ziemi ogołoconej wchodził nakształt kąta w środek żyzniejszych gruntów, do których dążyli nasi podróżni i gdzie mieli napotkać obfitość zwierzyny. Teraz jednak musieli wprzód przebyć przestrzeń dość rozległą, blisko osmdziesiąt kilometrów, nie mając nigdzie po drodze ani

rzeki, ani strumienia, ani źródła; jednym słowem, nigdzie kropelki wody!

Rozłożyli obóz nad brzegiem bystrego strumienia, chcieli tu odpocząć przed wkroczeniem na pustynią, napoić dobrze konie, ususzyć mięso antylop i nabrać sił przed rozpoczęciem uciążliwej przeprawy. Słońce zachodziło, gdy gromadka myśliwych zatrzymała się w tém pięknem, cieniستم ustroniu.

Przyrodnik Hans, lubiący samotne rozmyślania, oddalił się od towarzyszy i usiadł na samym brzegu lasu, u stóp wielkiego, rozłożystego drzewa. Wpatrywał się w oddalony widnokrąg, gdy ujrzał zdaleka na błoniu troje stworzeń dwunożnych, których kształty rysowały się wyraźnie przy ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Spostrzegł on odrazu, że dwunożne stworzenia nie były ludźmi, poznał w nich wielkie ptaki, strusie. Nie miał w tém wprawdzie wielkiej zasługi, małe dziecko nie omyliłoby się pewnie na widok strusia, postać tego ptaka zanadto jest odrębna. Zaden z pokrewnych mu gatunków, w innych częściach świata zamieszkałych, ani amerykańska reea, ani australijski dromaj, nie wygląda tak okazale, jak strus afrykański, *struthio camelus*.

Nie dziw więc, że przyjaciel nasz, Hans, ujrawszy w oddaleniu trzy dwunożne stworzenia, poznał w nich na pierwszy rzut oka samca i dwie samice strusi, gdyż samica tego okazałego ptaka różni się znacznie od samca, tak prawie, jak pawica od pawia. Strus samiec jest daleko większy od swojej towarzyszki, odznacza się też pięknem czarnem upierzeniem, przy którym wspaniale odbijają białe pióra u ogona i na końcach skrzydeł, samica zaś ma barwę jednostajnie szarą i nie posiada tych śnieżnych piór, za któremi ubiegają się zarówno dzicy, jak i cywilizowani ludzie.

Trójka spostrzeżona przez młodego naturalistę zbliżała się powoli, nie ukazując żadnego niepokoju. Widocznie nie podejrzывała wcale obecności naszych myśliwych, co zresztą łatwo zrozumieć, gdyż obóz ukryty był pomiędzy drzewami. Postępując spokojnie, strusie wyciągały szyje, to na prawo to na lewo, raz listek zrywając po drodze, to znów podnosząc z ziemi znalezione ziarnko. Szły prosto przed siebie, nie zatrzymując się ani wahając, z kądem nasz przyrodnik wnosil, że dążą do jakiegoś oznaczonego miejsca, może do zwykłego swojego noclegu.

Przeszły dość blisko obok Hansa, i wnet się oddaliły, zmierzając dalej. Zrazu młodzieniec chciał zawołać towarzyszy, którzy nie mogli dosłuchać strusi, siedząc pomiędzy drzewami; przychodziło mu nawet na myśl, żeby spróbować zabić lub żywcem schwytać trzy piękne ptaki, korzystając

jąc z ich nieostrożności. Ale po chwili namysłu odstąpił od tego zamiaru. Widok strusi nie był ciekawym dla żadnego z towarzyszy, oprócz może dwóch najmłodszych; ale malcy byli pomęczeni, zsiadłszy z koni, zaraz się do snu ułożyli na trawie, nie warto było przerywać im spoczynku.

Co się tyczy polowania na strusie, nie było o czém myśleć. Na tej równinie, ze wszystkich stron odkrytej, niepodobna byłoby ich podejść, a przyrodnik znał aż nadto dobrze szybkość biegu tych ptaków, aby mógł się spodziewać, że je dogonić zdołają na zmęczonych koniach.

Hans nie ruszył się więc z miejsca i pogonił tylko wzrokiem za ptakami, które odbiegły daleko, gdy wtém nowy przedmiot zwrócił na siebie uwagę młodego przyrodnika.

XI.

Najmniejszy ze wszystkich lisów.

Hans ujrzał teraz przed sobą zwierzątko czworonożne, malutkie, nie większe od kota domowego, ale odmiennéj postaci. Zamiast okrągłej głowy kocięj, miało pyszczek wydłużony, śpiczasty, przytém długi i puszysty ogon i nóżki znacznie wyższe od nóg kota. Co jednak w niém przedewszystkiém zwracało uwagę, to uszy, których rozmiary wcale nie były zastosowane do reszty ciała. Cały tułów zwierzątka, od ogona do końca pyszczka, nie mógł mieć więcej nad trzydzieści centymetrów długości, a uszy wynosiły najmniej piętnaście. Dodajmy do tego, że były wzniesione do góry, wyprostowane, szerokie, sztywne i bardzo śpiczaste na końcu.

Cała część zwierchnia ciała tego zwierzątka była jasno żółtawa, piersi i brzuch białe. Nie wyglądało wcale na kota, ani z kształtu, ani z ruchów, nie można go też było wziąć za psa, chociaż więcej się zbliżało do psa niż do kota. Możemy je nawet odrazu zaliczyć do rodziny psów. Był to najdrobniejszy gatunek lisa, zwany *kaama* w Afryce południowej; powszechnie przyjęta nazwa jest fenek, w naukowej klasyfikacji *megalotis*.

Ale cóż to za zwierzę ten fenek? zapytacie może. Nie łatwo na to odpowiedzieć; niejednen przyrodnik łamał sobie głowę nad rozstrzygnięciem tego zadania. Kilka gatunków tych dziwnych zwierzątek przebywa w Afryce, po raz pierwszy wspomniał o nich podróżnik Bruce. Niejednemu zdawało się wówczas, że znakomity ten uczoney dał się unieść wyobraźni, opisując to stworzenie.

— Dziwy prawi, bo wie, że nikt tych opowiadań nie będzie sprawdzał — powtarzano z niedowierzaniem; z czasem jednak przekonano się o prawdziwosci opisów podróżnika.

Fenek zaliczany jest do rodziny lisów, chociaż znacznie się od nich różni, szczególnie kształtem oczu. U lisów źrenica jest podłużna, u feneka okrągła, co wskazuje odmienne ich obyczaje. W rzeczy samej lisy są zwierzętami nocnymi, feneki wśród dnia na żer wychodzą. Są jednak gatunki lisów i feneków, polujące zwykle o zmroku i trudno pomiędzy niemi oznaczyć różnice.

Niemniej jednak feneki w zoologii stanowią rodzaj osobny, pod nazwą *megalotis*; wyraz ten znaczy prawie toż samo, co kłapouchy. Tym sposobem zakończyły się spory, które przez czas długi trwały z powodu tych osobliwych zwierząt pomiędzy uczonymi. Każdy bowiem z tych panów wyznaczał inne miejsce fenekowi według własnego widzimisię. Jeden chciał z niego zrobić psa, drugi kota, ten znów lisa albo łasicę, inny hyenę, a ktoś nareszcie chciał go pomieścić pomiędzy małpozwierzami czyli lemurami.

Nie będziemy się z nikim sprzeczać i powiemy po prostu, że fenek jest zwierzątkiem drapieżnem, zamieszkującym afrykańskie pustynie. Trzy gatunki tych zwierząt są najpowszechniej znane: fenek Bruce'a, *megalotis zerda*, odkryty najpierw przez tego podróżnika w Abissynii; ten sam gatunek zamieszkuje południową Afrykę. Zabora, *megalotis fumeolicus*, przebywa w Nubii. Utrzymują niektórzy uczeni, że postać jego przedstawiana była na rzeźbach egipskich i uchodziła dawniej za szakala. Nakoniec gatunek, dostrzeżony przez młodego naszego przyrodnika, nosi nazwę *kaama*. Jest to najmniejszy ze wszystkich feneków.

Zwierzątko biegło szybkim krokiem, zatrzymując się kiedyniekiedy, przysiadając na ziemi, pełzając nakształt lisa, gdy na zdobycz czatuje; widocznie miało cel jakiś i wybrało się na łowy. Ale gdzie zmierzało, jaką zdobycz upatrzyło sobie? Hans nie długo czekał na rozstrzygnięcie tego zagadnienia. Śledząc pilnie wzrokiem poruszenia feneka, spostrzegł, że zdążał w tę samą stronę, w którą przed chwilą pobiegły strusie. Pośpieszał on w ślad za niemi, wyciągając śpiczasty pyszczek i bystreimi oczkami wpatrując się w dal. Ile razy strusie zwalniały biegu, on także się zatrzymywał i przysiadał na ziemi, jak gdyby się obawiał, żeby go nie spostrzegły, a po chwili, gdy strusie biegły dalej i on szybko gonił za niemi. Czasem, natpotkał krzak po drodze, ukrywał się za nim, i chciwie spoglądał na strusie, pożerając je oczyma. Nie było wątpliwości, że biegł za strusiami, ale w jakim celu? Nie mógł ich przecież napadać, zanedto był roztropny, aby pojmował, że silny ptak jedném uderzeniem nogi odepchnąłby go i podrzucił, jak piłkę. Taki malec nie śmiałby się porywać na olbrzymie ptaki.

Pocóż więc gonił za niemi? Powiedzmy nawiasem, że nie tropił ich węchem, ale wzrokiem śledził; w każdym razie oczywistą było rzeczą, iż to drobne zwierzątko biegło za śladem strusiów, a przyrodnik nasz nie pojmował, na co mu się to przydać mogło.

Hans wyjął z kieszeni małą lunetkę, którą nosił zawsze przy sobie. Przydała mu się bardzo w tym razie, gdyż strusie przebyły już znaczną odległość, ledwie je dojrzeć mógł w oddaleniu, a mały fenek zupełnie mu znikł z oczu, ale przez szkło powiększające spostrzegł go nasz przyrodnik i przekonał się, że nie zaniechał swój pogoni.

Wtém strusie zatrzymały się nagle. Przez chwilę zdawały się naradzać, potem samiec przysiadł na ziemi, długie jego nogi zupełnie znikły, przytulony na piasku wydawał się ogromny. Wyglądał tak zupełnie, jakgdyby siedział na jajach. Czyżby tam rzeczywiście miało się znajdować gniazdo? Przypuszczenie to było dość prawdopodobne. Miejsce, na którym się ptak usadowił, otoczone było lekkim wzniesieniem gruntu, jakby obręczą. Struś nie wiele sobie kłopotu zadaje z urządzeniem gniazda, zazwyczaj zagrzebuje po prostu jaja w piasku, a nasyp, który ztąd powstaje, jest bardzo nieznaczny. Przypatrując się uważnie, przyrodnik nasz spostrzegł w pobliżu siedzącego ptaka kilka kul białych, wystających z piasku, a chociaż z daleka wyglądały nie większe od kul bilardowych, nie wątpił jednak, że to musiały być jaja strusie. Wiadomo, że ptaki te mają zwyczaj pozostawiać przy gnieździe kilka jaj nie zagrzebanych.

Dwie samice przechadzały się czas jakiś nokoło samca, potem przysiadły także, ale w inny sposób, jakby przykłęły, podczas gdy samiec całą piersią przytulony był do ziemi. Ten szczegół przekonał ostatecznie młodzieńca, że miał przed sobą rzeczywiście gniazdo strusie, na którym siedział samiec, samice zaś do snu się ułożyły. Wiedział on bowiem, że w rodzinach strusich przyjęty jest powszechnie taki dziwny zwyczaj: nie matka, ale ojciec spełnia obowiązek czuwania nad potomstwem. W dzień słońce dostatecznie ogrzewa jaja, w nocy więc tylko zasiada struś na gnieździe, otulając je od chłodu. W strefie gorącej jaja nie potrzebują nawet i tyle starania, zwykle też rodzice, zagrzebawszy je w piasku, wcale się o nie nie troszczą.

Ale cóż się stało z fenekiem? pomyślał młody przyrodnik, który na chwilę zapomniał o zwierzątku, zajmawszy się strusiami. Hans zaczął go szukać wszędzie, za pomocą swojej lunety i w końcu dostrzegł pod krzaczkami małe stworzenie, które tam zapewne także na nocny spoczynek się ułożyło.

Gdyby było napotkało w pobliżu jaką jamkę, lub szczelinę skały, byłoby się w niej usadowiło, gdyż fenek szczególnie lubi podziemne kryjówki.

Tymczasem ściemniło się zupełnie i Hans musiał zaprzestać dalszych obserwacji; schował więc lunetę do futerału i powrócił do obozu.

XII.

Ptaki bez skrzydeł.

Młody przyrodnik opowiedział natychmiast towarzyszom wszystko, co widział; słuchano go z nadzwyczajnem zajęciem, zwłaszcza dwaj młodsi, Janek i Klaas, niezmiernie żalowali, że nie byli świadkami ciekawej téj przygody. W rzeczy samej widok strusi nie jest wcale pospolity, gdyż ptaki te są bardzo lekkie i nigdy się nie zbliżają do ludzi. Chłopcy wymawiali bratu, że ich nie zawołał, tylko sam z tak szczęśliwego trafu skorzystał, nie dbając o nich. Niesłusznie jednak narzekali; Hans nie powodował się wcale samolubstwem, wiedział, że byli znużeni i nie chciał im przerywać spoczynku, zresztą strusie przebiegły szybko i możeby był nie zdążył ich sprowadzić, zanim się oddaliły.

Ale dzieci zawsze są skłonne do niesprawiedliwości względem starszego rodzeństwa, zawsze uważają się za pokrzywdzone i nie umieją ocenić dobroci rozsądniejszych od siebie braci. Już to chłopcy na całym świecie są jednakowi, nic ich tak nie zaciekawia, jak ptactwo wszelkiego rodzaju, a tu szło o ptaki niepospolite, okazalsze od wielu zwierząt czworonożnych.

To pewna, że gdyby szło o bawoła, o girafę, a nawet i słońia, dwaj malcy byliby nigdy nie wzięli tak do serca całego tego zdarzenia; takie zwierzęta natomiast zajęłyby więcej poważnych myśliwych, Henryka i Williama, ale dla naszych malców, uzbrojonych w małe strzelby, prochem nabite, ptactwo było najpożądańszą zwierzyną. Śrótem co prawda nie zabiliby strusi, ale niechby je byli obaczyli przynajmniej. — Ach, ten Hans zawsze taki nieznośny! — powtarzał Janek nadąsany, a Klaas mu wtórował.

Skargi i narzekania byłyby zapewne długo jeszcze potrwały, gdyby zajmująca rozmowa starszych nie opanowała była całkowicie uwagi chłopców. Mówiono naturalnie o strusiach; młody przyrodnik głos zabrał i opowiadał mnóstwo rzeczy ciekawych o tych ptakach osobliwych. Buszman Facetan wiedział z własnego doświadczenia to wszystko, co Hans w książkach wyczytał. Spędziwszy młodość wśród puszczy, znał doskonale strusie i rad był, że może się popisać swoją mądrością w obec Zulusa, który mu tak zaimponował

swojami bohaterskimi czynami; dodał też niejednemu szczególnie ciekawy do książkowych wiadomości, opowiadanych przez przyrodnika, a tym sposobem młodzi słuchacze zapoznali się wybornie z ptakiem wielbłądem, olbrzymem skrzydlatej rzeszy.

— Struś — mówił Hans — jest ptakiem afrykańskim, chociaż i w Azji napotkać go można w niektórych okolicach. Podróżnicy nadają także tę samą nazwę wielkim ptakom, przebywającym w Ameryce południowej, w Australii i na wyspach oceanu indyjskiego. Struś właściwy znajduje się w Afryce wszędzie, gdzie tylko rozciągają się puszczki piaszczyste, jest on bowiem przedewszystkiem mieszkańcem pustyni i nie trzyma się nigdzie po lasach, ani w miejscach bagnistych, nie lubi też i urodzajnych gruntów. Starożytni znali go od czasów najdawniejszych, a za panowania Rzymian musiano na niego polować niemiłosiernie, skoro na jednej uczcie, wydanej przez cesarza Heliogabala, wyliczono pomiędzy spożytymi potrawami sześćset mózgów strusich.

— Cóż to za żarłocstwo! — zawołał Klaas.

— Straszne żarłocstwo! — powtórzył Janek, który nigdy nie różnił się w zdaniu od towarzysza.

— Po takiej uczcie cesarz Heliogabal musiał mieć daleko więcej mózgu w żołądku, niż w głowie — rzekł uśmiechając się Arend.

— Niewątpliwie — dodał William.

— Starożytni — mówił dalej Hans — przewali tego ptaka *struthio camelus*, co znaczy ptak wielbłąd, gdyż w rzeczy samej podobny jest z wielu względów do wielbłąda. Noga o dwóch palcach przypomina racicę, długa szyja, wygięta w kabłąk, silne golenie i wydatna wypukłość na piersi, dopełniają podobieństwa. Obaj, zwierz czworonożny i ptak olbrzymi, stworzeni są jakby naumyślnie dla pustyni. Pliniusz i Arystoteles uważali strusia za jakąś istotę pośrednią, pomiędzy ptakiem i czworonożnym zwierzęciem.

Gdy Hans zakończył naukowy opis strusia, Facetan zaczął opowiadać wszystko, co wiedział, o obyczajach jego. Streścimy tu w krótkości szczegóły podane przez młodego przyrodnika i Buszmana.

Strusie żyją gromadnie, nieraz napotkać można stada tych ptaków, przebywające na rozległych równinach razem z zebami i antylopami. Samica znosi od dwunastu do szesnastu jaj i składa je w zagłębieniu, wśród piasku, zwykle jednak połowa tylko jaj starannie bywa umieszczona w tém gnieździe i piaskiem przysypana, reszta, rozsypa naokoło, ma służyć za pokarm świeżo wyklutym pisklętom; tak przynajmniej utrzymywał Buszman, młody przyrodnik był odmiennego zdania. Sądził on, że samice, składając jaja w gniazdo wspólne, nigdy ich

wszystkich pomieścić nie mogą i muszą część na zatracenie poświęcić, gdyż samiec nie dałby sobie z nimi rady. Trudno twierdzić na pewno, który z nich miał słusność; przyrodnicy, zaznaczając fakt, nie zdołali go jeszcze ostatecznie wyjaśnić.

Jaja zwykle ustawione są w piasku storcem, w liczbie trzydziestu, a czasem i więcej. Facetan upewniał, że nieraz znajdował do czterdziestu jaj w jednym gnieździe, rzadko się to jednak zdarza. Jak wspomnieliśmy wyżej, samiec najczęściej sam siedzi na jajach przez całą noc, ale i samice zastępują go kiedyniekiedy nad ranem, w dzień zaś, gdy słońce przygrzewa, strusie odchodzą od gniazda. W strefie gorącej nie potrzebują wcale wygrzewać jaj, gdyż ciepło słoneczne wystarcza na to zupełnie. Ztąd wypływa, że młode wykluwają się wcześniej lub później, stosownie do okoliczności, czasem w trzydzieści, a czasem dopiero w czterdzieści dni.

Młode strusiki wychodzą z jajka zupełnie rozwinięte; na drugi lub trzeci dzień po wykluciu opuszczają gniazdo i idą na żer w towarzystwie rodziców, wyglądają wówczas, jak dorosłe perlice. Stare strusie czuwają troskliwie nad swojemi pisklętami, bronią je od wszelkiej napaści, a gdy nieprzyjaciel się zbliża, samica, postępująca na czele gromadki, używa zwykle podstępu, dla odwrócenia na siebie niebezpieczeństwa; udaje, że jest skaleczona, przykleka co chwila, chwieje się na nogach, a samiec tymczasem uprowadza jak najprędzej młodzież w inną stronę. Dzikie kaczki, przepiórki i niektóre inne ptaki, używają także tego sposobu dla zabezpieczenia swojej dziatwy od napaści nieprzyjaciół.

Jaja strusie są szarawej barwy, nie wszystkie bywają jednakowej wielkości, a i młode, które z nich wychodzą, mają rozmiary rozmaite, najczęściej jednak długość ich wynosi około piętnastu centymetrów, a waga przeszło kilogram, to jest blisko trzech funtów. Najlepsze podobno wyobrażenie o tém mieć będziecie, gdy powiemy, że na jedno jajo strusie trzeba by było złożyć najmniej dwadzieścia cztery kurze. To też nie dziw, że takie jajko, upieczone w gorącym popiele, może nasycić dwóch ludzi; trzeba mieć bardzo dobry apetyt, ażeby je spożyć samemu w całości. Skorupa jest tak gruba i mocna, że może służyć za naczynie i wielu krajowców afrykańskich nie zna innych naczyń.

Stary struś samiec dochodzi zwykle trzech metrów wysokości, a waży około stu pięćdziesięciu kilogramów. Nogi ma grube i silne, udo wygląda po upieczeniu, jak porządna pieczeń barania. Ptak ten nie lata, ale za to biega z nadzwyczajną szybkością, prześciga wszystkie zwierzęta czworonożne. Jeździec nie może dopędzić strusia, choćby miał

najdoskonalszego wierzchowca, lecz musi różnych wybiegów używać, aby upolować tę szacowną zdobycz.

(D. c. n.).

Zadanie konikowe (L. W.).

wspo	ska	pie	wo	go	wam	plo	o
kność	spa	nię	jak	tę	gni	cę	ście
wro	mnień	Gdy	ta	sre	w do	na	niec
jam	mi	nie	a	rach	dzio	ja	le
ma	nek	świ	na	li	brzy	wie	rę
łość	zło	rę	le	nek	gó	sa	i
i	cę	czu	tów	ro	nie	wia	cia
te	z kwia	ja	pod	cic	ży	sa	bio

K r y p t o g r a f.

Wan, Noe, korona, buzia, węgiel, jad, wiąz, dym.

Z tych samych liter, przedstawiając je tylko, ułożyć znane przysłowie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 16-go.

S z a r a d y:

A — nie — la.

Łamigłówki zgłoskowej:

Wareg
Aargau
Litwos
Lazaret
Eleonora
Narew
Salette
Talmud
Erato
Jankiel
Neundorf

Wallenstein — Gustaw Adolf.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Rózi D. w Berdyczowie. Szkoda do kosza wierszyków, w których tyle jest ładnych i poczciwych myśli; wolimy je wydrukować. Nie powinno to młodziutkiej autorki wbijać w dumę; zdolność jest darem Bożym, aby z niej osiągnąć pożytek, potrzeba dużo pracować i uczyć się wytrwale. Liściki, tak pełne serdecznego ciepła, miłe są bardzo dla nas i prosimy, aby nadchodziły jaknajczęściej, a radziłybyśmy w nich znaleźć bliższe szczegóły o wieku kochanej naszej korespondentki, o jej naukach i otoczeniu.

Stefciowi K. przy ulicy Hożej. Żądane N-ra Pisma odesłaliśmy natychmiast, a z odpowiedzią spóźniłyśmy się z powodu braku miejsca. Cieszymy się, że *Dodatek* zajmuje małych czytelników i dziękujemy za liścik tak serdecznie napisany. Ale czemu to bracišek tak o nas zapomniał i już od tak dawna żadnej dowcipnej łamigłówki nie ułożył do *Wieczorów*?

Franiowi B. Łamigłówka jest dobrze ułożona i starannie napisana, ale musimy ją znacznie skrócić, bo zajęłaby za dużo miejsca.

Anuni J. w Chocimiu. Historii wydanej układem naszego Pisma wyszło dotychczas tylko dwa tomiki, któreśmy wysłali. Dalsze ukazać się niezapadło, nie możemy jednak dziś jeszcze oznaczyć ceny całego dzieła, ani ilości tomików.

K. A. Z. w Podzamczu pod Maciejowicami. Otrzymałyśmy dwie łamigłówki, w których najpierw uderzyła nas niezwykle piękna kaligrafia. Przypatrując się uważniej, spostrzeżliśmy z żalem, że łamigłówki nie mogą być drukowane, gdyż nie są ułożone według przyjętych prawideł. Trzeba koniecznie, ażeby ostatnie litery wyrazów, tak samo jak i pierwsze, miały jakieś znaczenie; inaczej łamigłówka byłaby załatwa do ułożenia i do odgadnięcia. W Piśmie naszym można znaleźć wzory różnych łamigłówek, nie tylko zgłoskowych, gdyż te są załatwa i proste. W następnych N-rach podamy jeszcze parę nowych wzorów i prosimy wszystkich współpracowników w tym dziale, aby na nie zwrócili uwagę.

Maryni Ch. W łamigłówce nie było tą razą żadnej omyłki, jak łatwo się przekonać z naszego rozwiązania, które się troszkę różni od nadesłanego. W poprzedzających N-rach wkradło się kilka drobnych błędów, które kochani czytelnicy od razu spostrzegli, teraz więc pilnujemy się lepiej. Dziękujemy bardzo za obietnicę stałej korespondencji i prosimy o dotrzymanie słowa. Upodobanie do opowiadań historycznych zasługuje na największą pochwałę.

Karolinie S. w Warszawie. Łamigłówka trafnie odgadnięta, a liścik ślicznie napisany, bez żadnej omyłki, ani przekreślenia, co pięknie świadczy o staranności i uwadze naszej miłej korespondentki. Komedijki i różne obrazki sceniczne stale będą podawane w naszym Piśmie. Wiadomość, które powiastki i opowiadania najwięcej się podobają czytelnikom, jest dla nas bardzo pożądana i prosimy wszystkich o zupełną otwartość pod tym względem.